Nr. 5. We Lwowie dnia 29. stycznia 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha



Łzy i uśmiechy.

Cykl poezyj prozą.

I.

Uśmiecham się, gdy widzę w niebiosach pięknych gwiazd tysiące, rój światów błyszczących, tych ruchliwych żywych świateł, które jeszcze przez długie wieki, gdy oczy moje dawno w proch się rozsypią, one tam będą w przestrzeniach kołysać się i rzucać w otchłań ogniste swe spojrzenia; — ale gdy w pogodną noc sierpniową, od tego roju oderwie się jedna śliczna gwiazda, gdy zmyli swój bieg, zapomni drogi, zmąci harmonję i spadając z łańcucha porządku staje się błędną istotą, zbuntowaną obywatelką błękitów, marnym opada żużlem na ziemię ku pośmiewisku gawiedzi i czarny punkt zostawia za sobą w przestworzu — wtedy, smutek mnie ogarnia, zaniepokojona tą umarłą gwiazdą, tem światłem, co w proch upadło, tym zgaszonym posterunkiem na szlaku nieskończoności, czuję, jak w myśli mojej zbiera się na ciężkie żalu łzy...

*

Uśmiecham się, gdy patrząc w przeszłość ludzkości, widzę, jak słaby dobijał się prawa, uciśniony sprawiedliwości, helota zrzucał pęta jak murzyn walczy o wolność, Singalez stawia ołtarze a Indjanin idzie do szkoły, jak myśl wznosi obserwatorja, uczucie stawia szpitale, a fantazja przybytki dla sztuki; — ale gdy na gościńcu społecznym potykać się trzeba o zawalidrogę, leżące gruzy rzeczy przeżytych; gdy głęboko widnieją koleje, któremi przejeżdża jeszcze gwałt i despotyzm; gdy małe dzieci połykają pył fabryk, ażeby módz połknąć chleb dwa razy na dzień, a nowa myśl potrzebuje urzędowego patentu; gdy leniwcy dopinają wyżyny, a zdolna jednostka odrabia podwójną pańszczyznę obowiązku, gdy władza i wpływ bywają monopolem komedjantów, a ofiarne idee tlą w piersiach zapracowanych bez tchu ludzi, którzy nie mają głosu, — wtedy, budzi mi się w sercu ogromne oburzenie, i jak zwiastuny burzy, błyskają mi w oczach wielkie gniewu łzy...

*

Uśmiecham się, gdy widzę, jak Mistrz genjalnym pendzlem rzuca na płótno jaskrawe fatamorgana dziejowej wielkości, jak rzeźbiarz kuje w marmurze uroczy ruch wdzięku lub psychologiczną chwilę równowagi ducha i ciała; jak poeta sączy w swe dzieło cierpienie narodu, muzyk wstrząsa tłumem, wiodąc go do czynu zrozumiałą dla wszystkich komendą pieśni; jak młody artysta bije się odważnie z przeciwnościami, aby wywalczyć sobie szacunek, miłość i sławę; — ale gdy widzę, że talent potrzebuje protekcji, piękno reklamy, sztuka giełdowego kursu na rodzaje, natchnienie schlebia namiętnostkom publiki, gdy boski instrument staje się narzędziem okolicznościowem, dzieło sztuki przedmiotem targu, a forum artystycznej pracy — jarmarkiem efektów — oh, wtedy, wzrok zasłoniwszy togą, jak Cezar, wolałabym nie widzieć tego okropnego handlu, i czuję, jak mi w oczach płoną dumy rozżalone łzy...

*

Uśmiecham się, gdy widzę, że wiekowe prześladowanie nie zgnębia żywotności narodu, że granice nie zarysowały wspólnej ducha własności, że próby niewoli stały się szkołą doświadczeń, a przyszłość zaczyna się logicznie budować od samego gruntu, gdzie coraz jest silniej, jaśniej, wspólniej; — ale gdy słyszę uporne veta stronnictw, wzajemne skargi, kłamliwe zarzuty, urazy, jątrzące rozterki, marnotrawstwo czasu na dźwięki haseł bez ciężkiej pracy, gdy nie podnosząc się wzajemnie, żywimy dawną hydrę zawiści i wciągamy najmłodszych społecznie braci w tę walkę zabójczą, — oh, wtedy trwoga do mnie przystępuje i bolą mnie w duszy zgryzoty gorzkie łzy...

*

Uśmiecham się, gdy patrzę na pogodny wschód słońca, jak owce pasą się wśród łąki, jak sarny spieszą na swe leśne placówki, jak dzięcioły kują w swoich warstatach, pszczoły ciągną na robotę w polu, mrówki idą na czas do swego biura, jak motyl — kolporter marzeń, zbiera wieści po kwiatach, jak kropla wody rzeźbi w kamieniu, a pyłek maleńki pracuje w atelié słonecznej smugi na jedno drobinowe drgnięcie światła; — ale gdy zima złowrogie przygotowuje wylewy, gdy marnotrawna wiosna zamęcza w słotach kwiatowe zawiązki, latem schną kłosy zamiast dojrzewać, a jesień bankrutuje po gumnach, stodołach i stertach, — gdy w harmonji cudownej przyrody słyszę ryk głodnego zwierza i pisk zjadanej ofiary, gdy widzę, że jedno na drugie czyha, że mniejsze rośnie, aby być pożarte przez większe, że jedno słabszem jest na to, aby być łupem mocniejszego pazura, gdy widzę, że apetyt zwycięża, że skrzydła gonią za — żerem, że pajęczyna coś dusi, że nawet kwiaty są żarłoczne, że w jednej kropli wody zagryzają się organizmy, że się wszystko kolejno pochłania, połyka, trawi, że nie szukając daleko, ja sama żywię się innymi, i sama za chwilkę stanę się pastwą tej cudownej, głodnej przyrody, -- oh, wtedy, cofam się ze wstrętem od tego olbrzymiego kotła, w którym się wszystko razem warzy i zaprzeczyćbym chciała tej strasznej walce o byt przez buntownicze, dumy urażonej łzy...

*

Uśmiecham się, kiedy widzę, jak po dniu pracy, nad wieczorem, podnosisz się szybko i odgarnąwszy włosy z czoła, zacierasz ręce z radością, żeś dużo zrobił, i lecisz w pole, w las, w góry, z pieśnią, ze strzelbą, z dobrą myślą, a potem wracasz do ognia, wesoły, zadowolony z siebie, myślący o drugich, marzący o dobru dla wszystkich; — ale gdy w spojrzeniu twem osiada zniechęcenie, w głosie nuda, gdy sobie ufać przestajesz, a liczysz na ludzi, gdy się zamykasz w podrażnionem sercu i nie przebaczasz przykrym omyłkom losu, gdy nie masz szczerej prostoty powiedzenia prawdy, tylko sarkazmem się odcinasz, gdy uparcie milczysz, chociaż mógłbyś dobrem słowem ulżyć sobie i bliźnim, gdy upadasz na duchu, zakładasz ręce, wleczesz skrzydła po ziemi, leniwymi krokami pył czynisz na drodze i sam mkniesz w tej pospolitej kurzawie, — wtedy, patrzę zdaleka na ciebie, patrzę i dziwię się, smucę i cierpię, i niewstrzymuję łez, bo myślę: a może przed niemi opadnie ta kurzawa, która cię mroczy, a może czem dobrem będą dla ciebie te moje serdeczne łzy...

*

Uśmiecham się, gdy w mojej duszy słyszę lekkie kroki natchnienia, gdy pieśń paluszkiem do błyszczącego fantazji okienka zapuka, a ja jej mówię: zaraz, zaraz! gdy myśl jaka głębsza niby dziadek wędrowny przystanie u proga mej pamięci i prosi o chwilę zastanowienia, gdy mi się szybko ogień na kominie, a płomień w sercu rozpali, prędko zagotuje woda w saganku lub zakipi w duszy prawda, duma, zapał i odporność na życia kłopoty, zawody, pokusy, lub gdy o leśne krzaki poszarpaną suknię na czas sporządzę, a tęsknotę za tymi, których kocham, załatam, ile się da -- pieśnią; ale gdy czuję, że niewidzialnym cieniem idzie za mną Ananke i że się coś w szczęściu mojem kędyś psuje, że moje pierworodne wady silniejsze są czasem od woli, a krążące bakterje złego, zatrzymując się na tkance mej wrażliwości, zaczynają opadać do uczuć pracowni i czynią mnie leniwą, niecierpliwą i namiętną; gdy zaczynam sobie pobłażać, a drugich nieznosić, gdy nie bawi mnie już widok z mego okna na ścieżki i gościniec spokojny, a zachciewa mi się całego koloseum wrażeń, pożaru Wezuwjusza, błękitów Atlantyku, lodowców Himalai, tajemnic Rzymu i marzeń weneckiej gondoli; gdy nudzą mnie dobrzy, zwykli ludzie, a myśl moja leci za świetnym umysłem tego, wielką sławą tamtego, czarującą rozmową owego; gdy przestaję być prostą, nucącą dziewczyną, a przeobrażam się w czujne, wrażliwe, spragnione, artystyczne stworzenie końca wieku, — wtedy, wielki mnie niepokój ogarnia, bronię się, jak mogę, często ulegnę, czasem zwyciężę, czasem, zawieszona między jednem a drugiem, czuję w oczach krążące od dna mego serca, korne, sumienne wstydu łzy...

*

Uśmiecham się, patrząc na niebo, ludzi, sztukę, w przyrodę, w ciebie i we własną duszę, i gdyby można, gdyby można, uśmiechem — wskrzesić, co obumarło, ostygło, spopielało, łzami orzeźwić, co skrzepło, zeschło i zwiędło, ach, gdyby można, toby warto całe życie oddać na to, żeby się ciągle — uśmiechać — przez łzy...

Szczęsna.

Młoda Polska i Stowarzyszenie ludu polskiego

przez

Bolesława Limanowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wielu członków komitetu »Młodej Polski« jak: Lelewel, Stolzman, Gawroński, i Królikowski podzielali objawiające się podówczas przekonania socjalistyczne.

Równocześnie zwrócił gabinet wiedeński swoją akcją i przeciwko Rzeczypospolitej Kra-

kowskiej. Korzystając z tego, że w Krakowie zabito szpiega ros. niejakiego Pawłowskiego, Austrja, Rosja i Prusy zażądały, ażeby rząd krakowski wydalił wszystkich emigrantów. Ten nie czując się na siłach stawiania oporu, żądał ażeby ze względu na interes ludności miejscowej wyznaczono pewny termin emigrantom do uporządkowania swych interesów. Żądania jednak tego nie uwzględniono i 17. lutego 1836 r. wojsko austrjackie wkroczyło do Krakowa, następnie przybyły oddziały rosyjski i pruski. Rozpoczęły się ostre wyganiania i wyszukiwanie emigrantów. Na mieszkańców, którzy ich ukrywali, nakładano ciężkie kary, badano księgi ludności i księgi metryczne — gdyż pewną część emigrantów do nich wpisano — dopuszczano się wogóle ogromnej samowoli i gwałtów. Następnie rząd rosyjski postawił żądanie zmiany samej konstytucji krakowskiej, na co chętnie przystały rządy austrjacki i pruski. Ograniczono jeszcze bardziej samodzielność rządu krakowskiego, ograniczono również i udział ludności w tym rządzie. Odtąd rezydenci trzech mocarstw absolutnych stali się istotnymi władcami w tej małej Rzeczypospolitej. Rząd angielski protestował przeciw temu, zdawało się nawet przez czas pewny, że nastąpi zerwanie stosunków dyplomatycznych, ale skończyło się wszystko na wymianie not i przyrzeczeniach, że to są tylko czasowe rozporządzenia.

Policja galicyjska wcześnie też zaczęła więzić. Kiedy odkryto spisek węgierski, Dawid uprzedził samobójstwem męczarnie więzienne. Pochwycono Hugona Wiśniowskiego. Chwytano to tego, to owego, i w śledztwie podstępami wydostano ustawę Stowarzyszenia Ludu P. Rozpoczęło się więc teraz uporczywe ściganie emigrantów. Przebywanie we Lwowie stawało się niebezpiecznem, prawie niemożliwem. Leon Zaleski, Stanisław Szczepanowski, Stanisław Malinowski udali się w góry i tam się ukrywali. Najdłużej stawił czoło obławie policyjnej Seweryn Goszczyński, każdą niemal noc gdzieindziej przepędzając. Wreszcie i on pomknął w góry. Wyjazd Goszczyńskiego, który podtrzymywał ducha w naczelnym zborze, dotkliwie dał się uczuć w Stowarzyszeniu. Oto co mówi z tego powodu Józefczyk: »Miejsce pierwotnego zapału, nie zajął zapał połączony z rozwagą, ale zimny rozsądek, potępiający może zapał szlachetny. Dla tego też zamiast korzystać z wypadków i zabezpieczyć związek na przyszłość od nowych niebezpieczeństw, zaczęła władza najwyższa myśleć o własnem bezpieczeństwie... Ospałość, nazwana roztropnością, była widoczna, życie teraźniejsze związku odbijało od dawniejszego, jak cień od światła, jak noc od dnia«.

Położenie stało się bardzo niebezpiecznem. Już i ukrywać się przed snującymi się wszędzie szpiegami było bardzo trudno. Więzienia zapełniły się; Bielowski, Szajnocha, Ziemiałkowski, Smolka i wielu innych siedziało już za kratami. Goszczyński, Siemieński uciekli do Francji. Leon Zaleski, porwany i dręczony przez oprawców policyjnych, skazany na 25 lat więzienia w kajdanach w Kufsztejnie, umarł w 1840 r. w szpitalu więziennym w Wiszniczu. Był to człowiek głębokiego przekonania i tej siły charakteru co Szymon Konarski. Poeta ludowy ruski, Kotkiewicz, ukrywający się przez długi czas pomiędzy włościanami, udusił się chustką w więzieniu lwowskiem. Ignacy Kulczyński, który był pośrednikiem pomiędzy zaborem austrjackim i rosyjskim, odebrał sobie życie z pistoletu, widząc, że dom, w którym się znajdował (pod Brodami) został przez policję otoczony.

I znowu się rozpoczęły śledztwa i wygnania patrjotów. W grudniu 1840 r. wydano wyroki. Zostali skazani do Kufsztejnu: Kacper Ciąglewicz na lat 20, Fortunat Stadnicki i Stefan Małkowski na 15, Stanisław Marynowski — 12, Ludwik Kempiński, Marceli Kropiwnicki, Olszewski, — 10, Juljusz Horoszkiewicz — 6, Aleksander Chrząstowski — 5. Na więzienie w Szpilbergu (w Morawie) od 2 do 7 lat zostali skazani: ks. Krzyżanowski, Słubicki, Minosakiewicz, Miejski, Domański, Dienstet, Smolka, Ziemiałkowski.

W zaborze rosyjskim także srożyło się prześladowanie. Pierwszą wiadomość o Konarskim rząd rosyjski podobno otrzymał jeszcze w końcu 1835 r. od ambasady rosyjskiej w Paryżu. Od tego czasu policja nieustannie czatowała. Przez dwa lata jednak, pomimo ogromnej liczby osób do związku należących i pomimo propagandy pomiędzy włościanami, rzemieślnikami i żydami szerzonej, nie wpadano na żadne ślady spisku. Nie wiedziano nawet gdzie właściwie Konarski przebywa, raz donoszono, że jest na Rusi, to znowu, że jest na Litwie. Dopiero w czasie pobytu jego w Wilnie pewniejszą o nim wiadomość powzięto. Istotnie Konarski ukrywał się w majątku Rodziewicza Lisowie, na Wołyniu i jako służący razem z nim jeździł. W Wilnie poznany, kiedy ztamtąd umykał, został w miesiącu maju 1838 r. na stacji Krzyżówce na trakcie mińskim przytrzymany i do Wilna odwieziony. Komisja śledcza, pod prezydencją okrutnego kniazia Trubeckoja, nic nie mogła wydobyć od więźnia. Rozwścieklona starała się go zmusić do zeznań torturami. Nie dość, że przed każdem śledztwem bito go kijami, lecz by powiększyć męczarnie, krajano mu skórę na łopatkach, puszczano gorący lak na rany, nalewano na nie spirytus i zapalano takowy, wbijano gwoździe za paznokcie. Nic to nie pomogło, i Konarski oprzytomniawszy, z pogardą mówił do siepaczy: łotry! jużem wam mówił, że nikogo nie wydam, bo nikogo nie znam. — To żelazny człowiek! — wołał ze złością Trubeckoj.

Dok. n.

LUDZIE I WYPADKI Z 1863—1865 ROKU.

Obrazki z powstania, zebrał i ułożył pułkownik Struś. — Lwów. — Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. — 1894.

II.

Pogląd pułkownika Strusia, niezgodny z prawdą co do okresu przedpowstańczego, niezupełnie się z nią zgadza co do samego powstania. Tu autor nie może się już wytłumaczyć niebytnością w Warszawie podczas robót przygotowawczych, bo przecież, jak o tem nam długo i szeroko opowiada w udziale Galicji w powstaniu 1863 i 1864 był organizatorem zachodniej Galicji, wie także doskonale, jak pokierowanem zostało przez białych, sam bowiem o ich działalności nader charakterystyczną czyni uwagę: »starali się zasilać powstanie o tyle tylko, aby nie upadło i dawało znaki życia«, bo »liczyli głównie na interwencję zagranicznych mocarstw«. Ale wiedząc o tem, szanowny autor bardzo słabo zaznacza ujemne strony działalności umiarkowanego (dla czego umiarkowanego?) stronnictwa, a nieraz z naciskiem podnosi krnąbrność, niekarność, etc. żywiołów krańcowych — zupełnie tak samo, jak się wyrażano za Kościuszki i w 1831 roku. Tego wcale pochwalić nie możemy, tem bardziej że, sądząc z wielu ustępów dzieła, sam pułkownik Struś należy do postępowców i doskonale ocenia szkodliwe skutki białej gospodarki, osobliwie w Galicji. W 1863 r. powtórzyło się kubek w kubek to samo, co po listopadzie. Jak w 1830 r. stronnictwo ruchu przygotowało powstanie, oglądając się na europejską rewolucję, na rosyjskich radykałów, a umiarkowani, dochrapawszy się władzy, kłaniali się jedynie «potencjom», to jest tym właśnie, których nasze powstanie miało zniweczyć. Trudno zaiste wymyśleć szaleńszą politykę! Nic dziwnego, że straciliśmy od razu zaufanie rewolucjonistów, że moskiewscy demokraci przeszli od razu do obozu carskiego, opuszczając tłumnie i nas i Hercena z jego *Kołokołem*; a potencje, jak były dla nas nieprzyjazne, tak nieprzyjaznemi pozostały, pomimo rozpaczliwego nacisku europejskiej opinji publicznej. Nasi umiarkowani, właściwie mówiąc, wściekli konserwatyści, nie chcieli dopuścić do ludowego powstania, do pospolitego ruszenia (patrz między innemi nader cenne i prawdziwe pamiętniki Bronisława Deskura «Dla moich wnuków«), skazywali nawet na śmierć tych dowódców, którzy chcieli uzbroić lud na własną rękę (n. p. pułkownika Lenieckiego, komisarza Chądzyńskiego, jak komitet Wileński, jeszcze przed powstaniem, chłopomana Bronisława Szwarca) i zdobyli się dopiero na ogłoszenie pospolitego ruszenia, jakby urągając naszym klęskom, w styczniu 1864 r.! Za to co za potok obelg, wyrzutów, oszczerstw i insynuacji na tych gorętszych i rozumniejszych ludzi, którzy kilka razy chcieli zwrócić powstanie na właściwe tory, na Bobrowskiego, Stanisława Frankowskiego, Chmielińskiego, Asnyka i innych! Pułkownik Struś powtarza niestety, czasami te oskarżenia, chociaż w zmiękczonej formie, i stąd owa połowiczność, powiedzmy nawet owa dwuznaczność wszystkich jego poglądów. Spodziewamy się, że w drugiem wydaniu, którego się to szacowne dzieło niezawodnie doczeka, szanowny autor zdobędzie się na więcej jednolitości i usunie wszystkie te usterki.

Nie brak w *Ludziach i Wypadkach z r. 1861 — 1865* wybornych charakterystyk, że wskażemy tylko ustęp o Wielopolskim, który najmocniej czytelnikom zalecamy (T. I. str. 47 — 49), i bardzo cennych materjałów, zaczerpniętych po większej części z dzieła Moskala Berga *o Polskich spiskach i powstaniach*, za mało znanego naszej publiczności, gdyż pierwszy jedynie tom jego posiadamy w przekładzie polskim. Ale chociaż autorowi należy się uznanie za obznajomienie szerszego koła czytelników z temi ważnemi źródłami, musimy mu wytknąć, że i tu dopuszcza się bardzo zasadniczego błędu, tem szkodliwszego, że może podkopać całą historyczną wartość jego opisów. Berg starał się być bezstronnym, miał nawet dla nas niemało sympatji, ale fakty czerpał głównie ze źródeł urzędowych moskiewskich i z zeznań takich zdrajców, jak Awejde, Majewski Karol i inni, należący — chwała Bogu! — przeważnie do umiarkowanego stronnictwa. Nie wypadało zatem powtarzać ich spowiedzi, choć w gruncie prawdziwej, bo wymuszonej na ich tchórzostwie przez Tuchołkę i jemu podobnych groźbą katuszy i szubienicy — bez odpowiednich notatek i sprostowań. A z drugiej strony ci nawet, którzy nie zdradzali, tłumaczyli się często przed Moskalami, zwalając wszystko na poległych lub nieobecnych; rzecz bardzo naturalna, ale łatwo zrozumieć, że takie zeznania, będące główną podstawą aktów śledczych, nie mają najmniejszej wartości, i powtórzyć ich bez komentarzy nie można. Damy natychmiast kilka przykładów tego bardzo niekrytycznego postępowania pułkownika Strusia.

Jego monografja »Kazańskiej sprawy« (T. I. Str 222 — 230) jest dosłownem tłómaczeniem (o czem autor nic wspomina) rosyjskiej broszurki, wydanej w Genewie w 1865 r. przez moskiewskiego demokratę Elpidina. Elpidin sam siedział w Kazaniu z głównymi aktorami tego ponurego dramatu i powtórzył to, co mu współwięźniowie zechcieli powiedzieć. Jedną z głównych figur opowiadania jest jakiś Francuz Hieronim, którego Moskale rozstrzelali bez przyczyny, a który do śmierci protestował przeciw wyrokowi, zapewniając, że jest niewinny i zginął (podług Elpidina) Bóg wie za co i poco. Tymczasem był to syn emigranta, inżynier paryzkiej szkoły cen-

tralnej, Hieronim Kieniewicz, główny organizator nadwołżańskiego buntu, agent Sierakowskiego oraz komitetu petersburskiego. Znosił on się jeszcze w początku 1862 r. z Warszawskim Centralnym Komitetem za pośrednictwem swego kolegi ze szkoły Centralnej i spółobywatela francuzkiego, Bronisława Szwarca i był jednym z najenergiczniejszych i najzacniejszych działaczy organizacji przedpowstańczej. Kieniewicz wypierał się do śmierci, nikogo nie wydał, i odwoływał się głównie do swego francuzkiego obywatelstwa; takim sposobem bohater polski przedstawia się, dzięki niekrytyczności autora, jako głupowaty i niewinny Francuzik, który do rewolucji wyrwał się, jak Filip z Konopi. Każdy nam przyzna, że tak ojczystych dziejów traktować nie wypada.

Cały opis białej administracji Rządu narodowego jest także dosłownie wzięty z Berga, podług zeznań Awejdy, o czem autor zresztą dość pobieżnie wspomina. Rzecz jasna, że szanowny p. Oskar chwali się, o ile może, wydając zarazem swoich kolegów, którym także pochwał nie skąpi, ale żyją jeszcze tacy, których do szubienicy doprowadzić nie zdołał, i którzy mogliby sprostować całe jego opowiadanie. Czemuż więc szanowny autor nie raczył udać się do nich? A jeżeli ci członkowie Rządu, z rozmaitych powodów, nie życzą sobie oświecać tego ciemnego okresu, nalażało przynajmniej dodać do moskiewskiej opowieści polskie wyjaśnienia, a nie przedrukowywać dosłownie zeznania zdrajcy, powtórzonego przez wroga, jako polski materjał do dziejów naszych. Tak się przecie nie godzi.

Są nareszcie takie ustępy w dziele pułkownika Strusia, które mu stanowczo radzimy bezpowrotnie wykreślić. Do takich należy nasamprzód memorjał Sierakowskiego do rządu moskiewskiego o Litwie — o ile autentyczny, sądzić nie możemy. Żadnej chwały litewskiemu bohaterowi ten memorjał przysporzyć nie może — przeciwnie, jestto płód najczystszego walenrodyzmu; a gdyby projekt Sierakowskiego, podobny z gruntu do wymysłów Myszkowskiego margrabiego, trafił do przekonania ministra wojny, niezliczoneby stąd wynikły szkody dla Litwy samej, skazanej na nieomylną z Moskalami asymilację (na co autor memorjału nieraz nacisk kładzie) i dla sprawy ogólno-polskiej. Jeźli memorjał autentyczny, można go sobie wytłómaczyć tem, że nowy Wallenrod chciał koniecznie dostąpić zaufania Milutina, co mu się, jak wiemy, najzupełniej udało; ale w każdym razie nie wypada powtarzać takiej elukubracji na stronicach dzieła o powstaniu.

Wyrzucić trzeba tem bardziej tłómaczenie artykułu p. Wsiewołoda Krestowskiego, teraźniejszego aż nadto nam znanego głównego redaktora »Warszawskiego Dniewnika«, o jego »doświadczeniach i rozmyślaniach« w warszawskich katakumbach, czyli po prostu w krypcie świętojańskiej Fary. Nie rozumiemy nawet, jak autor mógł się wyrazić, że »słyszał te opowiadania od jakiegoś Moskala w Genewie«, kiedy każdy może je znaleźć w Zbiorze dzieł wyżej wymienionego djejatjela, i kiedy sam p. Struś opowiada w innem miejscu (str. 275 T. II.) podług Berga te same przygody, ale w odmiennem zupełnie świetle. Szczerze radzimy szanownemu autorowi pozbyć się co prędzej tego rozdziału, bo inaczej możnaby mu zarzucić, że chciał sobie po prostu zadrwić z polskiej publiczności.

Mielibyśmy do wytknięcia pułkownikowi Strusiowi kilka innych błędów i omyłek, wynikających także głównie ze zbytecznego pośpiechu i z niekrytycznego traktowania rzeczy, np. ustęp o rozdzierającem pożegnaniu kawalera Jankowskiego z żoną (T. I. str. 195), podług znanych nam osobiście pamiętników inżyniera Szymona Katylla, kuzyna i przyjaciela tego nieodżałowanego partyzanta, w których to pamiętnikach, rozumie się, ani słówka o tej mitycznej żonie niema. Moglibyśmy powtórzyć jeszcze raz, że należy zawsze przytaczać źródła, inaczej można zasłużyć na słuszny zarzut plagjatu, i zniweczyć wartość całego dzieła.

Ale że za wiele już może zrobiliśmy autorowi zarzutów, poprzestaniemy na teraźniejszej ocenie, zapewniając go, że nie kierowaliśmy się ani niechęcią, ani stronniczymi względami, ale jedynie nadzieją, iż oświecimy choć trochę podane przez niego fakty i materjały i zachęcimy go do przejrzenia i do poprawienia tych, które zapewne ten niestrudzony historyk powstania znowu sobie przygotował. Przepraszamy najmocniej za zbyteczną może gorliwość i prawdomówność, ale szanowny pułkownik wie przecie, że *amicus Plato, sed magis amica veritas;* a kto potrafił jak on, poświęcić się dla dobra ogółu, nie zechce, ufamy, szukać prywaty tam, gdzie idzie jedynie o sprawę całego narodu.

Bronisław Szwarce.

Rozbiory i sprawozdania.

Sewer Maciejowski, „Nafta", powieść w 3-ch tomach. — Warszawa, nakładem Lewenthala 1894.

Dzięki wielkiemu talentowi Sewera, jesteśmy znowu bogatsi o jedną dobrą powieść, powieść wypełnioną naszem życiem, naszymi stosunkami i naszem społeczeństwem w jego trudach i zabiegach, w jego przekształcaniu się, w jego pochodzie naprzód. Jeżeli zważymy, że beletrystyka nasza dopiero od 20 najwyżej 25 lat spełnia rolę zwierciadła społecznego, a dalej, że po porzuceniu ścieżek Kraszewskiego i Korzeniowskiego powieść nasza musiała i dotąd jeszcze musi się chwiać w wyborze kierunku, że mając tyle recept

importowanych z Francji i Skandynawji nie wie jeszcze, w czem jej ciepło, — to nie możemy żądać od niej bezwzględnych arcydzieł i z otwartemi rękoma bierzemy to, co nam daje.

Przełom w życiu zrujnowanego panicza Zygmunta, który z początku nie wie sam, czem jest: czy lalką, na którą krawcy nakładają ubrania ostatniej mody, czy dziennikarzem, czy s'ańczykowskiego pokroju profesorem — a który mimo przewiny i wad dziesiątka pokoleń wstecz — prawdopodobnie dzięki szlachetnej i zdrowo myślącej nieboszczce matce — ma w sobie jeszcze sił na tyle, aby w walce z przyrodą zrazu dla chęci bogactw, po dłuższem obcowaniu z naturą i zapasach z nią dla wyższych, ogólnych, altruistycznych celów zaniechać deklamacji mglistego Leconta de Lisle, plunąć na pobielane groby, wśród których się wychował i przeobrazić na człowieka czynu — oto właściwa fabuła powieści. Obok Zygmunta, którego właściwej charakterystyki (miłość dla kuzynki Maryni, stosunek do spólników amerykanów i do świata salonów) dla szczupłości miejsca musimy zaniechać, występuje jeszcze drugi bohater, wprowadzony w powieść przez autora z Szekspirowską manjerą różnorodności charakterów a równoległości doli i akcji. Ten drugi bohater to społeczeństwo; i ono także przeobraża się i zmienia. Pod wpływem walki z przyrodą, górne warstwy demokratyzują się (Zygmunt, Marynia i jej matka), zaś wskutek bogactw, dobytych z ziemi i przepływu pieniędzy z rąk do rąk, dolne klasy podnoszą się (robotnik Rębacz i lud okoliczny) i czuć, że staną one niedługo w nieugiętej falandze szermierzy postępu, równości i wolności. Ta trafnie i należycie przeprowadzona obserwacja, to podpatrzenie fermentacji społecznej w naszym kraju sprawiają, że jeśli kiedyś historyk zechce poznać epokę obecną — będzie mógł, zwróciwszy się do „Nafty“, wiele się z niej nauczyć.

Obok tych głównych osób: Zygmunta i społeczeństwa roi się w „Nafcie“ od różnych typów i postaci. Sfery arystokratyczne reprezentuje dodatnia osobistość ciotki Gertrudy, zaś ujemne hr. Gołoledzkiej i Mozysia; jest w powieści pachnący abbé i Lola dewotka, jest wyrosły na nafcie miljoner, ambasador paragwajski, szczycący się godnością prezesa klubu kelnerów wiedeńskich, jest Kwiatkiewicz, pyszny typ dorobkiewicza, jest Jan Nepomucen z karbowaną laską, fanatyczny pracownik Stefan (w warszawskim żargonie nazwanoby go „organicznik“), Jaś, poseł do rady państwa i sejmu, Rębacz, chłop walny i cały tłum uświadomionego już ludu i ciemna jeszcze brać i biedna — słowem całe społeczestwo.

Kanwa powieści: kopalnia, praca maszyn, świdrów i pomp, manipulacja z terenami, podkupywanie i podkopywanie się, odtworzone są z wielką wiernością i znajomością rzeczy, a gorączka złota oddana znakomicie w tempie powieści i całego stylu. Ten ostatni jest w „Nafcie“, jak zawsze u Sewera, piękny, jędrny, czasem podniosły, a czasem poetyczny poetycznością pierwszej miary.

Cyprjan.

CUWAKSY.

(Dokończenie).

— Macie, złodzieje, siennik — rzekł klucznik, otwierając drzwi — chociaż wartoby wam tak zrobić, żebyście spali na gołych deskach.

Aresztant położył siennik na tapczanie i mimochodem szepnął coś do dziada, na co ten tylko głową skinął. Aresztant odszedł, drzwi się zamknęły, a chłopcy wzięli się do słania łóżka. Siennik był duży, tak że dla obu było na nim miejsca dosyć. Również i koc jeden dla obu wystarczał, tak że Władek, poszeptawszy z Naczkiem, zwrócił się do dziada:

— Może wam jeszcze jednego koca potrzeba? Dla nas jeden wystarczy.

— A jak zmarzniecie? Tu jeszcze nie palą, aż od wszystkich świętych zaczynają, a w nocy zimno.

— Mamy dwa prześcieradła. A może wy marzniecie w nocy, to wam się koc przyda.

— Pewnie, że marznę — rzekł dziad, przyjmując koc. — Bóg zapłać wam, dzieci!

Zmrok zapadał coraz gęstszy. W kaźni zaległa cisza.

Dziad ciągle siedział na swem miejscu, nie myśląc nawet kłaść się. Na kolanach jego znowu leżała lira.

— Idźcie spać, dzieci — rzekł. — Nie patrzcie się na mnie, ja stary, nie mogę spać. A wy pewnie zmęczeni.

Chłopcy rzeczywiście byli nadzwyczaj zmęczeni i osłabieni wskutek poprzedniej bezsennej nocy i przeziębienia. Rozebrali się więc i pokładli razem na swym tapczanie. Ale zasnąć nie mogli. Twarze ich ciągle zwrócone były ku dziadowi, którego głowa w pociemku błyszczała, jak biały, nieokreślonych kształtów tuman. Po chwili milczenia dziad westchnął parę razy, pochylił głowę i zwolna pokręcił korbą liry. Struny instrumentu wydały przeciągły, żałośny głos, niby jęk cichy. Klapnęły pod palcami dziada klawisze, struny wydały jeszcze żałobniejszy akord. Akord ten pociągnął się w nieskończoną dal, wpadając czasem w odmianę, to znowu powracając do pierwotnych tonów. Do tej muzyki dziad zanucił cichym, ale czystym i wyrazistym tonem smętną aresztancką piosenkę:

Komu świeci miesiąc, a mnie niema słońca;
Już memu nieszczęściu nigdy niema końca.
Ja siedzę w więzieniu i cierpię niewolę,
Płaczę i narzekam na nieszczęsną dolę.

Chłopcy mimowoli szczelniej przycisnęli się jeden do drugiego na odgłos tej muzyki i tej pieśni, śpiewanej zwolna na nutę nadzwyczaj prostą, a przecież wzruszającą do głębi, osobliwie każdego, kto znajduje się w tem położeniu,

o jakiem mówi pieśń. Naczek, przycisnąwszy twarz do szyi brata, zaczął po cichu płakać; jego ciepłe łzy kapały na szyję Władkową. Władek z razu chciał go ofuknąć, ale nie mógł; odwrócił się tylko, pocałował Naczka w mokre oko i rzekł szeptem:

— No, no, daj spokój, jakoś to będzie!

A dziad nucił dalej o losach aresztanta:

Do sądu wołają inkwizyta słuchać,
Mój konsylarz złośny wziął się na mnie fukać.
Wziął się na mnie fukać, bym prawdę powiedział:
»A jak powiesz prawdę, nie będziesz tu siedział«.

— Słuchaj Władku, słuchaj! — szepnął Naczek, podnosząc głowę i nadsłuchując.

O ścianę pod ich bokiem stukano, oczywiście kawałkiem drzewa.

Nasamprzód stuknięto raz. Dziad natychmiast przestał grać i śpiewać, odłożył lirę, wstał i nie macając zbliżył się ku ścianie, gdzie kończył się ich tapczan, i drewnianym klawiszem swej liry również stuknął o ścianę. Natychmiast odezwały się z tamtej strony liczne stuknięcia, w pewnych odstępach, to częstsze, to rzadsze. Po każdym odstępie dziad stukał po razu, niby dając znak, że zrozumiał. Następnie telegrafista z kaźni sąsiedniej skończył, a dziad zaczął jemu w taki sam sposób udzielać nowin. Chłopcy słyszeli o tym sposobie porozumiewania się, któryś ze starszych uliczników uczył ich nawet złodziejskiego abecadła, ale nie zapamiętali go, nie mogli więc nic zrozumieć z tej rozmowy, jaka toczyła się przez ścianę. Skończył wreszcie dziad i znowu sąsiad począł, lecz tym razem krótko. Zamiast odpowiedzi dziad stuknął trzy razy i odszedł od ściany, a stanąwszy pod oknem między tapczanami, trzykrotnie stuknął obcasem o podłogę. Po chwili odezwało się z dołu również trzykrotne stuknięcie. Dziad wlazł na framugę okna i przyłożył głowę szczelnie ku kratom, a rękę wychylił na zewnątrz i natychmiast wciągnął ją napowrót, odwiązawszy z długiej, cieniutkiej, z prętów związanej żerdzi list, podany mu przez okno z kaźni sąsiedniej. Zlazł z okna, podsunął się pod tapczan, na którym leżeli chłopcy i namacał gdzieś w ukrytej szparce sznurek. Na jego końcu uwiązał list i spuścił przez okno na dół do kaźni, leżącej bezpośrednio pod nim, gdzie go też odebrano. Gdy dziad zwijał sznurek, odezwały się znowu trzy stuknięcia z dołu — znak, że list odebrany. Dziad odpowiedział również trzykrotnem stuknięciem obcasa o podłogę, a następnie swym klawiszem stuknął trzykrotnie w ścianę, i dopiero odebrawszy taką samą odpowiedź, usiadł na powrót na swe miejsce i wziął się do liry. Wieczorna poczta była załatwiona. Chłopcy ze zdziwieniem z pod swego koca spoglądali na tę całą robotę. Zdawało im się, że dziad z nastąpieniem nocy odmienił się, że napływająca ciemność wlała w tę ogromną postać nowe życie. Ruchy jego były pewne i bystre, głos czysty, dźwięczny i wcale nie taki grobowy, jakim do nich gadał, a owa żywa komunikacja jego z aresztantami we wszystkich kątach nadała mu w ich oczach urok jakiejś tajemniczej potęgi. W wyobraźni snuły się im sceny z matczynych opowieści o starych czarownikach, siedzących w głębokim lesie w kamiennej pieczarze i czarownicy ci przybierali teraz całkiem wyraźne rysy i kształty Semka Tumana.

A dziad siedział znowu spokojnie i nieruchomo na swym tapczanie. Spać ani myślał. Nastroiwszy lirę, zagrał te same, co i przedtem smętne akordy i kończył przerwaną pieśń aresztancką:

Ja prawdę powiedział, dekret mi czytają;
Przyszli ojciec, matka, smutno mię witają.
»Witam synu, witam, w kajdany okuty!
»Nie chciałeś nas słuchać, masz drewniane buty.«

Głos umilkł na chwilę, tylko lira brzęczy. Czy to dziad westchnął? Czy struna ośliznęła się po drewnianym kołku? Lecz oto znowu dziad zaśpiewał, ciszej, żałośniej:

»Masz drewniane buty i ucięte włosy;
»Ty siedzisz w więzieniu, w polu lecą kłosy.
»Masz drewniane buty i burą sukmanę;
»Ja się ciebie wstydzę, gdy przy tobie stanę!«

Pieśń skończona. Lira zabrzęczała silniej, żywiej, jak gdyby ubogie, smętne tony na jej strunach zatrzepotały się w przedśmiertnych podrygach. I popłynął w półsennej wyobraźni chłopców daleki, szeroki potok ciemności. Deszcz leje i pluska w kałużach. Wiatr jesienny pędzi po pustem polu i gdzieś daleko — daleko świszcze między krętymi brzegami. A pośród tej ciemności, słoty i wiatru idzie biedny aresztant, przemokły, zziębnięty i płacze Łzy jego grube, gorące, spadają głośno niby na szklaną podłogę i rozbijają się w tysiączne bryzgi — kap! kap! kap! Cyt! Czy to szklana podłoga rozbrzęczała się tak od kapiących na nią łez? Czy może drasnęło ją to żółtawe światło, padające ukośnym słupem z łona ciemności? Nie, to nie podłoga brzęczy! To w owem świetle igra rój złotych muszek i wydaje cichy, ledwie dosłyszalny, lecz nieskończenie luby dźwięk z niewidzialnych djamentowych skrzydełek — ńńń, ńńń! Dźwięk ten zbliża się, staje się silniejszym, wyraźniejszym! Ńńń! Oddala się, w górę, w górę, jeszcze wyżej, ciszej, wreszcie rozpłynął się zupełnie w przestworzu.

Chłopcy zasnęli.

Iwan Franko.

Przegląd pism.

„Kwartalnik historyczny“. Organ Towarzystwa historycznego pod redakcją Oswalda Balzera. — Rocznik VIII. Zeszyt I. — Lwów — 1894.

Zeszyt niniejszy otwiera praca prof. A. Małeckiego, poświęcona jednemu z najważniejszych zabytków średniowiecznej historjografji polskiej, mianowicie kronice Baszka, czyli t. z. kronice wielkopolskiej. Dotąd wiek tej kroniki, tudzież jej stosunek do innych kronik były przedmiotem sporów. Nawet kwestja autorstwa tego utworu — czy to robota jednego pisarza, czy dwóch, czy może całej spółki — nie była należycie wyświetloną. Co do tego wszystkiego w świecie uczonym panowały dotąd najróżnorodniejsze zdania. Otóż prof. Małecki na podstawie bardzo skrzętnych i drobiazgowych badań, przelewa na te wszystkie kwestje dużo światła i udowadnia: że Biskup Bogufał II. nie miał w pisaniu kroniki wielkopolskiej najmniejszego udziału; że obydwie połowy tej kroniki są dziełem Baszka, ale druga pierwej została ułożona, niż pierwsza; że życie tego pisarza przeciągnęło się aż do r. 1297, że nareszcie drugą połowę kroniki układał przed r. 1280, pierwszą zaś między r. 1295 a 1297. Gdybyśmy jednak woleli przypuścić, że i pierwszą jeszcze przed r. 1280 pisał, albo pisać począł, w takim razie przypuścić trzeba, że do niej dopiero w r. 1295 dopisał wiadomy wstęp, spowodowany do tego kroku świeżo odbytą koronacją Przemysława II.

Artykuł W. Czermaka »Młodość Jerzego Lubomirskiego« jest fragmentem większej pracy o Lubomirskim, mającej być poniekąd obrazem jego czasów. Pan Czermak zajmuje się obszernie jego rodowodem, charakterystyką rodziców jego, latami dziecinnymi, spędzonymi w Wiśniczu itd. Dzieje lat szkolnych Lubomirskiego zostały opracowane na tle historji wychowania w Polsce, do czego autor posługiwał się wyciągami z metryk uniwersytetów zagranicznych, ogłoszonych drukiem, jak też instrukcjami, wydawanemi przez ojców dla synów, wyjeżdżających do obcych krajów po naukę, wreszcie kilku zbiorami korespondencji między rodzicami a kształcącemi się w kraju albo za granicą dziećmi.

W dziale »Miscellaneów« p. E. Pawłowicz dzieli się z czytelnikami wiadomością o bibljotece hr. Tyszkiewiczów w Wilnie, składającej się z 714 dzieł w 1262 tomach, pomiędzy którymi znajduje się kilka rękopisów, mających pewne znaczenie dla badaczy dziejów Polski, Rusi i Moskwy. Jest tam naprzykład latopis staroruski, nabyty przez hr. Borcha w Ipatiewskim manasterze około Jarosławia w Rosji, zawierający opis rządów carów: Iwana Wasilewicza i Teodora Iwanowicza, dzieje zawojowania Syberji i Kazania: następnie opis panowania Bazylego Iwanowicza Szujskiego, które mieści ważne materjały do dziejów Litwy i Polski z epoki protegowania Samozwańców, i wyboru na tron Władysława IV. Oprócz tego znajduje się mnóstwo listów, inwentarzów, lustracyj, dyarjuszów sejmowych, relacji, aktów itd.

P. Wł. Wszelaczyński ogłasza tekst djalogu z jednej broszurki polskiej, wydanej we Wrocławiu w r. 1775. Djalog ten ma być, zdaniem jego, pierwowzorem powiastki A. Mickiewicza „Golono, strzyżono«. Aczkolwiek podobieństwo między utworem Mickiewicza, a wspomnianym powyżej djalogiem jest dość bliskie, jednakże hypoteza p. Wszelaczyńskiego wcale nie jest przekonywającą, ponieważ temat swej powiastki mógł Mickiewicz zaczerpnąć również dobrze z jakiego innego źródła, gdyż podanie o żonie upartej jest ogromnie rozpowszechnione.

Dział recenzji jest jak zawsze bardzo obfity. Po sprawozdaniach następuje przegląd literatury zagranicznej, dotyczącej głównie dziejów Niemiec w XIX. w. Następnie idzie przegląd czasopism z trzeciego kwartału r. 1893, dalej znajdujemy sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa historycznego i polemikę. Zeszyt zamyka obszerny życiorys Ryszarda Roeppla, ze spisem bibljograficznym prac jego odnoszących się do historji polskiej.

L. Wasilewski.

Z RUCHU LITERACKIEGO.

Andrzeja z Kobylina Gadki o składności członków człowieczych z Arystotelesa i też innych mędrców wybrane — wydał Józef Rostafiński. — Kraków, 1894, str. 189, ct. 80.

Boys C V. Bańki mydlane, wykład o zjawiskach włoskowatości. Przełożył W. Biernacki. — Warszawa, 1894, str. 158, złr. 1.26.

Czołowski Aleksander dr. Sprawa sporu granicznego przy Morskiem Oku, wywód historyczno-prawny z pięcioma kartami. Lwów — nakładem Wydziału krajowego 1894, str. 73.

Frenzel K. Prawa kobiety. — Nowela. — Kraków, 1894, str. 177, złr. 1.50

Królestwo zwierząt, obrazy z życia i obyczajów świata zwierzęcego, według Brehma i i innych najlepszych źródeł opracował Lakowitz, przełożył St. Rewieński - z rycinami. Zeszyt IV. Warszawa, 1894, str. 289-384 ct. 60.

Macaulay. Szkice i rozprawy tłóm. St. Tarnowski. Tom II. — Kraków, 1894, str. 253, złr. 1.40.

Porębowicz Edward. Andrzej Morsztyn, przedstawiciel »Baroku« w poezyi polskiej. — Kraków, 1894, str. 95, złr. 1.

Rostafiński Józef. Zielnik czarodziejski, to jest zbiór przesądów o roślinach. — Kraków, 1894, str. 191, złr. 1.50.

Sejmiki polskie w Kazaniu. 1655–1663, napisał A. — Lwów, 1894, str. 29, ct. 60.

Świętek Jan. Lud nadrabski. (Od Gdowa po Bochnię). Obraz etnograficzny. — Kraków, 1894, str. 728, złr. 3.

Udziela Seweryn. Ustrój szkół ludowych w Polsce przy końcu XVIII. i w początkach XIX. wieku. — Lwów, 1894, str. 34, ct. 20.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.